

Trzeba zarżnąć świnię

Błoto mlaskało pod ciężkimi butami mężczyzny odzianego w proste, lniane ubranie. Pozlepiane potem kosmyki kasztanowych włosów opadały na ogorzałą, pokrytą głębokimi bruzdami twarz. Ciemne, beznamietne oczy były skupione na świniaach zgromadzonych przed nim. Silna, duża dłoń z brudem za paznokciami mechanicznie wyjmowała z wiadra ochłapy i rzucała je zwierzętom. Kiedy naczynie stało się puste, wieśniak zaczął iść w stronę smętnej, obskurnej lepianki, która przylegała do zagrody. Jego wzrok nie odbiegał daleko od miejsca, w którym miał wykonać kolejne zadanie. *Trzeba zarżnąć świnię*. Słońce powoli zachodziło za miejsce, z którego przybywali Panowie. Za Miasto. Wieśniak nigdy nie zastanawiał się, co skrywało się za wysokimi murami i gigantyczną kopułą, która przyspieszała nadejście nocy, nie czuł potrzeby, by odbiegać od narzuconego mu życia. Oprócz zaspokajania potrzeb fizjologicznych, jedynie służył Panom. Myślał wyłącznie: *Zaraz przyjadą oni po mięso. Niedługo muszę iść do wychodka*. Ostatnie promienie słońca oświetlały ogromne połacie pól, a na nich równomiernie wybudowane lepianki, wszystko to pogrążone w bezlitosnym cieniu Miasta.

Mężczyzna i kobieta stawili się przed wejściem do niewielkiej chatki. Ich świat był już praktycznie pogrążony w mroku, kiedy przyjechali Panowie. Coś jednak było inaczej. Oprócz tego samego mężczyzny, który zawsze odbierał od pary dobra, przybyła również wielka, kolorowa lektyka, którą niosło siedmiu tęgich mężczyzn. W środku, za płachtami materiału, widoczny był fragment otłętego ciała odzianego w kosztowne materiały i biżuterię. Małe oczka patrzyły z pogardą na wieśniaków. Mężczyzna w lektyce popijał coś z czary trzymanej w tłustej dłoni. Kiedy otwierał usta, by wziąć kolejny łyk, widoczne były jego czarne jak noc zęby. Z wozu zeskoczył Pan ubrany o wiele skromniej niż ten w lektyce, jednak znacznie kosztowniej niż wieśniacy.

-Oto Jego Imaginacja Naoise Gerhard Toma- jego głos był wysoki i przenikliwy, a zęby lekko poczerniały- Ukłonie się.

Kiedy wieśniacy wykonali polecenie, Pan kontynuował.

-Jego Imaginacja został nowym władcą naszego Miasta i przyjechał odbyć inspekcję. Za tydzień oczekujemy dwóch świń oraz koca wykonanego z lnu. Ukłon.

Lektyka ruszyła, nagle jednak jeden z mężczyzn podtrzymujących ją jęknął i złapał się za łydkę. Minęło kilka sekund, zanim skurecz minął i pojazd odjechał na dobre. W międzyczasie jednak, przy akompaniamencie piskliwych odgłosów wydawanych przez Jego Imaginację, na drogę spadło kilka kropel czarnego trunku, który popijał władca. Nieświadomy tego wieśniak podążył kawałek śladem lektyki. Nagle jego prawa stopa napotkała sporych rozmiarów kamień. Potknął się, zachwiał i jego twarz znalazła się w błocie. Kiedy wstał, na wargach poczuł jakiś dziwny smak. Wychylił język... i wessał głośno powietrze. Jego oczy rozjaśniły się, a źrenice powiększyły. Natychmiast wyprostował się. Nagle zdał sobie sprawę, że te buty nie są wygodne. *Dlaczego słońce zasłania wielka kopuła? Czemu słucham tego mężczyzny w lektyce? Co jest za tymi murami?* Przez chwilę stał w błocie i rozglądał się. Wszystko to, co mógł mieć, co mógł stworzyć, albo ulepszyć, albo po prostu... wyobrazić sobie, dotarło do niego. Jedna myśl jednak przeważała nad wszystkimi. *Co to był za napój, który piła Jego Imaginacja?*

Słońce przeżuwał kleistą owsiankę. *Słońce- tak się nazywam. Tak chcę się nazywać*. Nie czuł jednak głodu. Bardziej zajęty był wpatrywaniem się w kobietę naprzeciw. W szaroburej lepiance znajdowały się tylko dwa łóżka, stół z krzesłami, piec i kuchnia. *Ona*

wydaje się być kolejnym meblem. Mechanicznie poruszała łyżką i pochłaniała jedzenie. Słońce w pewnym momencie zmarszczył brwi. Przez dziury, które były oknami, wpadały promienie wschodzącej gwiazdy i lekkie, ciepłe powietrze.

-Hej.

Kobieta podniosła głowę, przez moment Słońce miał nadzieję, że odpowie mu. Jej oczy były zielononiebieskie i puste. W ciszy kobieta wróciła do jedzenia. Słońce nie chciał się poddać.

-Smakuje ci ta owsianka? Chciałabyś więcej mleka?

Milczenie.

-Jak myślisz, ładna będzie dzisiaj pogoda?- mężczyzna poczuł, że ogarnia go frustracja-Co chcesz zjeść na obiad? Wolisz poranek czy noc?- w miarę jak mówił, jego głos oraz ciało podnosiły się- Chcesz pić? Chcesz żyć? Chcesz umrzeć? Czy ty w ogóle jesteś człowiekiem?!

Kiedy zadał ostatnie pytanie, prawie krzyczał, a kobieta odsunęła się od niego i ścisnęła łyżkę w dłoni. Nic jednak nie powiedziała. Kiedy Słońce wybiegł z lepianki, wróciła do jedzenia.

W dzień zabijania świń Słońce nie myślał o tym, co zawsze. Co prawda wykonał swoje zadanie- jakaś część jego jaźni być może wciąż nie potrafiła sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby tego nie zrobił- ale jego umysł był w jakimś odległym miejscu. Gdy stanął obok kobiety trzymając dwa worki mięsa oraz koc, ogarnęło go dziwne uczucie. *Chciałbym coś zrobić, ale nie wiem, co.* Czekali tylko chwilę, zanim przyjechał Pan. Na jego wozie ciągniętym przez dwa konie znajdowało się już wiele dóbr. Sam Pan odziany był w kolorowy strój- niebieski płaszcz obszyty srebrną koronką, krótkie spodnie, wysoki kapelusz oraz jeszcze wyższą perukę o bordowym kolorze. Na twarzy wykonany miał biały makijaż, a z krótkiej szyi zwisał naszyjnik, w którym śrubki pracowały stukając leciutko i przesuwając małe kółeczka zębate.

-Dwie świny oraz koc. Ukłon.

Słońce wykonał polecenie. Na jego ustach zatańczył jednak wątyły uśmiech, gdy zobaczył pantalony Pana. *Jakie śmieszne spodnie, nigdy bym takich nie ubrał.* Kiedy Pan zszedł z wozu, by wziąć dobra, na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. *Czego on ode mnie chce? Przecież wszystko jest tak, jak było zawsze.* Pan zbliżył się do niego i wpatrywał mu się prosto w oczy.

-Co to było? Hmm?- wieśniak nie wiedział, czy ma odpowiadać, czy nie- Uśmiechnąłeś się. Tak nie powinno być.

-Ja...

W momencie, kiedy Słońce otworzył usta, poczuł silny ból w szczęce. Jedyne, co pamiętał z kolejnych wydarzeń, to tumult wymierzanych ciosów i bólu. Kiedy w końcu podniósł się z ziemi i wypluł krew, zdał sobie sprawę, że pod jego stopami leży ciało Pana. Przez dłuższy czas wpatrywał się w mocno pobite zwłoki. Kobieta zniknęła w lepiance. Gdy za kopułę zachodziło słońce, mężczyzna przeszukał ciało. Znalazł fiolkę z czarnym płynem. Jak tylko ostatnia kropla spadła na jego język, w jego umyśle zrodził się plan.

Zarzekalem się, że nigdy nie ubiorę tak krótkich spodni, nawet, jakbym był na jego miejscu. A teraz jestem, i mam na sobie to okropne ubranie. Naszyjnik był ciężki, a w peruce prędko zrobiło mu się gorąco. Miał problem z wyczyszczeniem stroju po bijatyce, ale udało mu się doprowadzić go do porządku. Okazało się, że jazda na wozie jest całkiem łatwa. Ciało poprzedniego właściciela ubrania Słońce zakopał pod ziemią. Teraz zmierzał ku kopule. Metalowe mury okalały całe Miasto. Przy ogromnej bramie zebrało się w kolejce już

kilkanaście wozów z Panami wyglądającymi prawie identycznie jak Słońce. *Skoro teraz jestem jednym z nich, będę zachowywał się jak oni.* Ustawił się więc w rzędzie i czekał.

Po jakimś czasie kolejka powoli zaczęła ruszać do przodu. W miarę, jak Miasto było coraz bliżej, Słońce coraz bardziej się denerwował, lecz przejechał przez bramy nie wymieniwszy ani jednego słowa z kimkolwiek. Przez kilkanaście kolejnych minut Słońce podążał za chmarą wozów gdzieś w głąb Miasta. Starał się nie płakać, ale łzy szczęścia i zachwytu leciały z jego oczu.

W żyłach Miasta płynęła czysta wyobraźnia. Drogi łączyły się i rozsuwały przed jego oczami. Ludzie kłębili się w pociągach, na których frontach widniały czarne dziury wielkości jabłka, napędzające maszyny złożone z miliona śrubek, młoteczków i kólek zębatych. Gdy spojrzął w okna domów wyrastających z porośniętej wysokimi na dwa metry kwiatami ziemi, ujrzał kolory, o których istnieniu nie wiedział. Przejechał obok stawu, z którego wyrastała tęcza z tysiącem barw. Widział ludzi o skrzydłach motyla, ogonie tygrysa czy uszach nietoperza. Niektórzy unosili się tuż nad ziemią w balonach z silnikami, z których wydobywała się para. Inni sami stali się zlepkiem miedzianych i stalowych elementów. Jakaś rodzina cieszyła się własnym księżycem podczas pikniku na dachu jednego z budynków. Ktoś malował obraz przedstawiający sens życia. Ktoś inny śpiewał pieśń bez słów. Kobieta w ogromnej sukni z trawy i chmur grała na instrumencie większym niż większość budynków. Słodka, niezrozumiała, skołtuniona i piękna muzyka drgała w uszach. Nozdrza wypełniał każdy możliwy zapach. Płynne powietrze, lotne szkło i żelowe zwierciadła oklejały budynki.

Słońce ujrzał też jednak rzeczy, których nie potrafił pojąć. W przeciwieństwie do istot z Miasta rozumiał tylko trzy wymiary. Oni zdawali się widzieć o wiele więcej- jego biedny umysł nie potrafił poradzić sobie z formami, które zdawały się nie mieć sensu i kształtami bez początku czy końca, więc po prostu skupił się na rzeczach prostszych.

Powietrze raz było gęste jak owsianka, a kawałek dalej lekkie jak piórko. Za jednym z okien widoczny był niewielki system planetarny zawieszony w sztucznej atmosferze. Kolorowe planety obracały się powoli- równie powoli jak mężczyzna tuż obok, wkoło którego zebrała się garstka osób. Obserwowali, jak mały palec tego człowieka wykonuje subtelne ruchy. Wiele osób jeździło na zebrach i ogromnych zębach na kółkach. Na drodze zapisano dziwaczne znaki, a Słońce miał przeczucie, że wszystko, czegokolwiek pragnął, jest w nich zawarte. Wodospad szumiał głośno. Spadał on z ziemi do wąskiej, ale długiej dziury zionącej ciemnością.

Słońce wraz z chmarą Panów podążył do budynku, w którym zarekwirowano wóz i wydano mu płaski, sporych rozmiarów talon, który wyglądał jak naleśnik, a następnie, nadal w tłumie, zaczął się zbliżać się do monsturalnej kopuły w centrum Miasta. Łukowate wejście, do którego ustawiła się duża kolejka, zdawało się być maleńkie w porównaniu z resztą budynku. Jego ściany były powleczone czymś w rodzaju śliskiej, metalicznej powłoki. Powodowała ona iluzję, że na kopule tańczy milion odblasków i kolorów. Najważniejszy jednak był cienki, wąziutki sznurek spadający z nieba prosto w środek kopuły. *To jest czarny napój. Biorą go ze sfer wyższych niż chmury.* Faktycznie, ten prządek czy linia była bardziej czarna niż cokolwiek, co Słońce widział w życiu.

Kiedy w końcu nadeszła jego kolej, zabrano mu talon, wręczono przezroczystą buteleczkę i wpuszczono do środka kopuły. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była ciemność. Postawił kilka niepewnych kroków. Po chwili jego oczy przyzwyczaiły się do półmroku i ujrzał piękno budynku. Cały sufit i ściany pokryte były lśniącymi gwiazdkami i krążkami. Emanowały one czystym, białym światłem. Na środku kopuły stała kamienna czara pełna czarnego napoju, który wylatywał strumieniem z nieba. Po obu stronach, kilka stóp nad ziemią, lewitowały niezwykle stworzenia o ludzkiej sylwetce. Były kompletnie nagie, jeśli nie liczyć oplatających je rurek, które dostarczały im czarnego napoju prosto do krwi. Ich długie,

ciemne włosy opadały aż do podłogi, a powściągliwe, blade i nienaturalne twarze sprawiały przerażające wrażenie. Najbardziej jednak wyróżniały się u nich czarne i pulsujące żyły. *Napój żyje w ich ciele. Wyglądają, jakby spali-* myślał Słońce, idąc w stronę czary, kurczowo ściskając w dłoni flakonik. Stał przed naczyniem. *Nadeszła ta chwila. Aż trudno mi sobie wyobrazić wszystkie nowe możliwości!*

Zanurzył flakonik w płynie. Już chciał się obrócić, kiedy zauważył, że jedno ze stworzeń otworzyło nagle oczy. Kompletnie czarne ślepie spoglądały prosto na niego. Istota poruszyła palcami lewej dłoni...

EPILOG

Mężczyzna otworzył puste oczy. Miał na sobie prosty, lniany strój. Wstał z łóżka i usiadł przy stoliku. Zjadł mechanicznie zimną owsiankę. Kobieta milczała. On milczał. Wyszedł na dwór. Niebo zaciągnięte było ciężkimi, szarymi chmurami. W jego umyśle pojawiła się myśl.

Trzeba zarżnąć świnię.